Robert Moore Williams

Niech zawsze tak będzie

(Be It Ever Thus)

Fantastic Universe, January 1954
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

Ludzie walczyli i umierali o godne życie i wolność od samego początku czasów i będą kontynuować tę walkę, aż do chwili kiedy nadejdzie ostateczny koniec. Oto jest w pełni czytelna opowieść, o takiej właśnie sytuacji — opowieść która może równie dobrze stanowić prognozę groźnej przyszłości waszych i naszych dzieci.

Tubylcy na tej planecie byli tak bardzo podobni do swoich zwycięzców, że nikt nie potrafił ich od siebie odróżnić... za wyjątkiem różnicy w sposobie myślenia.

Był to Dzień Ukończenia Szkoły. Grupa studentów ostatniego roku z Międzygwiezdnego Instytutu Zaawansowanych Nauk, miała na ten dzień zaplanowaną wycieczkę do Muzeum Podbitych, aby obejrzeć pozostałości po rasie, która niegdyś władała tą planetą. Istniało wiele tego rodzaju muzeów, utrzymywanych w celu umożliwienia ludziom poznania wielkości, wykazanej przez ich przodków podczas podboju tej planety, oraz aby zademonstrować jak gruntowny, oraz jaki pełny był ten podbój. Być może istniały jeszcze jakieś inne powody funkcjonowania tych placówek, ale władze ich nie ujawniały. Zwiedzanie takiego muzeum, było częścią zajęć dla każdej kończącej uczelnię grupy studentów.

Billy Kasker przeszedł tego dnia wcześniej, aby zająć się dla pana Phippera, instruktora, który miał zabrać grupę do muzeum, wszystkimi problemami, mogącymi pojawić się w ostatniej chwili, oraz aby upewnić się, że wszyscy studenci z ostatniego roku, którzy mieli to zrobić, udali się na wycieczkę. Billy Kasker był starostą grupy. Przystojny, dobrze zbudowany młodzieniec, uczynny, szczodry i myślący aż do przesady. Był bardzo lubiany zarówno przez studentów, jak i nauczycieli akademickich. Był miły dla każdego, nawet dla Joego Bucknera, który nazywał go „nauczycielskim pieszczoszkiem” i szyderczo twierdził, że Billy został wybrany starostą grupy wyłącznie w wyniku wyśmienitej roboty w zakresie lizania tyłków.

Nawet podobne do tych uwagi, nie wyprowadzały Billy’ego Kaskera z równowagi. Nadal zachowywał się tak, jakby Joe Buckner był jego najlepszym przyjacielem.

– Czy wszyscy już przyszli, Billy? – zawołał instruktor.

– Wszyscy są już na miejscu, proszę pana – odpowiedział mu Billy Kasker.

– Bardzo dobrze. Ruszajmy więc do muzeum. Kiedy będziemy je zwiedzać, możecie zadawać mi wszelkie dowolne pytania. Jednak muszę

nalegać, abyście trzymali się blisko mnie i nie odchodzili od reszty grupy. Rozumiecie chyba, że nie grozi nam tam jakieś specjalne niebezpieczeństwo –– stworzenia żyjące w muzeum, mają jak najskuteczniej powyrywane zęby –– ale nie powinniśmy podejmować zbędnego ryzyka.

Instruktor wyprowadził ich na zewnątrz. Był humorzastym małym człowieczkiem w lśniącym skórzanym płaszczu i miękkim kapeluszu, zdecydowanie za dużym dla niego. Nieważne ile by nie wepchnął papieru pod wewnętrzną zakładkę na jego obrzeżu, kapelusz nigdy dobrze na niego nie pasował. Spoglądając przez okulary, które nieustannie wyglądały jakby zaraz miały mu spaść, przeprowadził grupę z Instytutu Międzygwiezdnego, w pobliże muzeum. Razem z nim szła grupa ośmiu dziewcząt i dziewięciu chłopców.

– Dlaczego musimy zwiedzać to stare muzeum? – skarżył się Joe Buckner. – Przecież wiemy o tym już wszystko.

– Taka jest zasada – odpowiedział mu Billy Kasker. – Wydział uważa, że powinniśmy poznać całą tę sytuację z pierwszej ręki. Wtedy będziemy lepiej ją rozumieli.

Joe Buckner pogardliwie chrząknął.

– Zawsze czepiasz się grubych ryb i opowiadasz wszystkim to, co kazali ci mówić.

– Pytałeś mnie. Próbowałem więc ci to wyjaśnić. – Głos Billy’ego Kaskera był ciągle uprzejmy. Jeżeli nawet w jego oczach pojawił się jakiś błysk, to zagościł tam jedynie przez krótką chwilę.

Muzeum zajmowało otwarty teren o długości wielu mil. Otoczone było wysokim, elektrycznie zasilanym ogrodzeniem, z rozmieszczonymi wzdłuż niego w regularnych odstępach wieżyczkami strażniczymi. Była tylko jednak brama, do której instruktor poprowadził grupę. Z wartowni wyszedł ich powitać kapitan, aż lśniący w swoim wspaniałym mundurze.

– Grupa z ostatniego roku z Instytutu Międzygwiezdnego, co? No dobrze. Zauważyliśmy, że się zbliżacie. Strażnik, proszę przynieść panu Phipperowi pistolet *Thor*, a potem otworzyć bramę. – To ostatnie zostało wypowiedziane energicznym tonem do strażnika, który przyszedł za kapitanem.

Pistolet *Thor* pojawił się niemal natychmiast. Była to niewielka broń, w komplecie razem z pasem i kaburą. Kapitan wyjął go z kabury. Obserwujący to Billy Kasker, odniósł wrażenie, że pistolet wykonany był z błyszczącego włókna szklanego. Miał krótką, masywną lufę, na której widać było malutkie przyrządy celownicze. Billy Kasker przyglądał się mu bardzo dokładnie.

– Czy wie pan jak go używać? – spytał kapitan.

– O, tak – odpowiedział mu instruktor.

– Czy tam jest aż tak niebezpiecznie, że potrzebujemy pistoletu *Thor*? – spytała Susan Sidwell. Susan specjalizowała się w chemii jonowej i zrobiła dyplom z najwyższymi zaszczytami.

– Nie, tam naprawdę nie jest niebezpiecznie – pośpiesznie odpowiedział instruktor. – Broń jest zabierana wyłącznie ze względu na tradycję.

– Absolutnie nie ma tam żadnego niebezpieczeństwa, młoda damo – potwierdził kapitan. – Nie ma się czym przejmować. A zwłaszcza, jeżeli macie państwo to. – Poklepał pistolet, który instruktor zapinał sobie na biodrach.

Brama została otwarta. Grupa, z instruktorem na przedzie, weszła przez nią do środka muzeum. Billy Kasker zajął pozycję na końcu. Joe Buckner szedł bezpośrednio przed nim.

Ruszyli najpierw obejrzeć ruiny miasta –– potrzaskane ściany, zapadnięte budynki, ulice na których ciągle piętrzyły się sterty gruzu. Ten zmiażdżony, połamany kręgosłup miasta, wszędzie porastało zielsko i pnącza, tak jakby sama natura próbowała skryć brzydkie blizny.

Instruktor odpowiednio dostosował ton swojego głosu. Tę samą przemowę wygłaszał już wielokrotnie, do szeregu grup kończących studia młodych ludzi, i dokładnie wiedział co ma im powiedzieć.

– Wiecie, oczywiście, że w tej chwili znajdujemy się w części starego miasta, które zostało niemal doszczętnie zniszczone podczas naszego ataku w 4021 roku Po Yevbro, albo w 1967 roku, zgodnie z tym jak liczyli lata, zamieszkujący tę planetę tubylcy. Tej części pozwolono przetrwać w stanie, w jakim pozostawiły ją nasze statki, aby dać przykład skuteczności działania naszej broni.

Jego głos sprawiał wrażenie, jakby to on sam, osobiści, brał udział w tym ataku i cieszył się destrukcją, która miała tutaj miejsce. Stał sztywno wyprostowany, rozłożył szeroko ręce i głęboko oddychał.

– A co się stało z mieszkającymi tutaj tubylcami? – spytał Billy Kasker.

Instruktor zmarszczył brwi.

– Och, wszyscy zostali zabici. – W pierwszej chwili był nieco poirytowany tym pytaniem, ale niemal natychmiast satysfakcja wróciła do jego głosu.

– Dostali to, co im się należało, za próbę oporu przeciwko naszym statkom powietrznym – stwierdził Joe Buckner.

– Tak, tak, zasłużyli na swój los. – Instruktor podciągnął nieco wyżej, wiszący na jego biodrze pistolet *Thor*.

Billy Kasker milczał.

– Teraz pójdziemy na pola, potem do sekcji fabrycznej –– takiej jak wygląda ona obecnie –– a następnie obejrzymy tę część miasta, którą pozwoliliśmy odbudować tubylcom. Chodźmy.

Klasa wyszła poza miasto. Dopiero tutaj zobaczyli pierwszych tubylców. Ubrani byli przeważnie w szmaty –– wielu z nich było przygiętych i przygarbionych, po niektórych widać było oznaki głodu –– to byli cisi, spokojni ludzie, którzy uważnie schodzili z drogi grupie studentów. Poza jednak nędznym ubraniem i wyraźnymi oznakami głodu, wszyscy byli z wyglądu identyczni jak ich zwycięzcy.

– Przecież oni wyglądają dokładnie tak samo, jak my! – Z oburzeniem oznajmił Joe Buckner. Jego ton wskazywał, że podobieństwo to wzbudziło u niego obrazę.

– Jest między nami wiele różnic – szybko wtrącił instruktor. – Zauważcie ich ubrania, jak lichej są jakości. Wytwarzają je sobie sami, z wełny jakiegoś zwierzęcia –– konia, jak mi się wydaje, czy słonia.

– Z owcy – poprawił go Billy Kasker.

– Och tak, zdaje się, że to zwierzę nazywa się owca. Dziękuję ci, Billy.

– Nie ma za co, proszę pana.

– Ale oni przecież nie powinni wyglądać tak jak *my*! – kontynuował swoje pretensje Joe Buckner.

– Są także znaczne różnice chemiczne – powiedziała Susan Sidwell. – Pewnego razu, w laboratorium, analizowaliśmy ich krew. Po pierwsze, jej kolor był inny. Poza tym mają zupełnie odmienny metabolizm.

– Przypuśćmy jednak, że któryś z nich ucieknie z muzeum i przedostanie się do naszej części planety. Gdyby założył na siebie nasze ubrania, skąd mielibyśmy wiedzieć, że to nie jest ktoś z nas. – Joe Buckner nadal mówił z wyraźnym oburzeniem.

– To właśnie jest jeden z celów, którym służą nasze bransolety – odpowiedział mu instruktor. – Bardzo dobre pytanie, Joe. Jak przecież wiesz, każdy z nas dostaje zaraz po urodzeniu bransoletę, zakładaną noworodkowi przez dłoń, na nadgarstek. Wykonana jest ona z *plastikum*, którego w żaden sposób nie da się przeciąć i ma przy tym tę unikalną właściwość, że zwiększa swój rozmiar, w miarę jak rośnie osoba ją nosząca. Nie można jej zdjąć, chyba że utnie się właścicielowi rękę. – Roześmiał się tak, jakby opowiedział dobry żart. – Jestem jednak pewien, że nikomu z was nawet nie wpadło do głowy, zrobienie czegoś takiego. Na bransolecie znajduje się przypisany każdemu z nas numer seryjny.

Wyciągnął do góry rękę, pokazując błyszczący okręg z *plastikum* na swoim nadgarstku. Dla niego –– dla nich wszystkich –– była to zaszczytna oznaka, znak dowodzący, że dana osoba należy do wyższej rasy.

– Gdyby któryś z tubylców uciekł, brak bransolety natychmiast ujawniłby jego tożsamość. Podjęlibyśmy odpowiednie środki w celu jego wyeliminowania.

– Rozumiem – powiedział Joe Buckner. Wydawał się być nieco ułagodzony. – A w jaki sposób byśmy go wyeliminowali?

– Jak sądzę, w tego typu przypadkach zazwyczaj przyjęte jest użycie broni Thor –– dużego kalibru, który natychmiast dezintegruje cały obiekt. Model, który mam przy sobie, zrobiłby w nim tylko dziurę o kilkucalowej średnicy.

– Mam zamiar zostać żołnierzem *Thor*! – oświadczył Jor Buckner z nagłym entuzjazmem.

– Dobrze! – odpowiedział mu instruktor. – To bardzo piękna idea. Gdybym tylko mógł ponownie przeżyć moje życie… – Westchnął, zadumany nad straconymi szansami.

Po tym ogłoszeniu swoich ambicji, Joe Buckner wyrósł znacznie wyżej w opinii klasy.

– Obserwujcie, w jaki sposób oni żyją – kontynuował lekcję instruktor.

Grupa przyglądała się jak tubylcy uprawiają ziemię. Technika, której używali, była prymitywna, ale nawet nieco interesująca. Do spulchniania ziemi wykorzystywali pługi i brony, narzędzia ciągnięte przez jakieś duże zwierzęta.

– *Konie*. Wydaje mi się, że te zwierzęta, tak właśnie się nazywają. Oczywiście nie pozawalamy im na posiadanie urządzeń wykorzystujących sztuczne źródła energii.

– To jest zupełnie odmienne od sposobu, w jaki my zdobywamy naszą żywność – z zamyśleniem zauważył Billy Kasker.

– Och, nie – wyjaśnił instruktor. – My naszą żywność syntetyzujemy. Tak prawdę mówiąc, od nich wymaga się, aby hodowali pokarm dla siebie. Dzięki temu, muszą poświęcać tak wiele czasu na znalezienie czegoś do zjedzenia, że nie mają go na sprawianie kłopotów. – Uśmiechnął się, jakby coś w tym pomyśle strasznie mu przypadło do gustu.

– Wyjdzie im to na dobre – stwierdził Joe Buckner.

Pracujący w polu tubylcy zdawali się nie zauważać grupy. Jednak kiedy studenci podchodzili bliżej, przestawali rozmawiać i pilniej zajmowali się pracą.

– Są za bardzo wystraszeni, żeby rozmawiać, kiedy jesteśmy w pobliżu – powiedział Joe Buckner. – To tchórze!

– A teraz do sekcji fabrycznej – polecił instruktor.

Fabryki były małe i nie robiły specjalnego wrażenia. Pracując w nich jedynie bardzo topornymi narzędziami, bez wyposażenia elektrycznego, tubylcy wytwarzali maszyny potrzebne w gospodarstwie rolnym.

– Dlaczego nie damy im lepszych narzędzi? – spytał Billy Kasker.

– A niby dlaczego mieliby je dostawać? – zawołał w odpowiedzi Joe Buckner. – Przecież to oni przegrali, co nie?

– No tak, ale…

– Gdyby było tak, jak proponujesz, to wypruwałbyś z siebie żyły i pomagał stronie która przegrała. Bardzo szybko mógłbyś odkryć, że to ty przegrałeś!

– Mało prawdopodobne – odparł Billy Kasker. – Ale to wydawałoby się bardziej ludzkie…

– *Ludzkie*? A to zabawne! – Joe Buckner klepnął się po udach i ryknął śmiechem.

– Chodźmy dalej – powiedział instruktor.

– Popatrzcie –– tam bawią się jakieś dzieci! – zauważyła Susan Sidwell. – Okropnie wyglądające małe potworki, co nie? – Wskazała na grupę brązowoskórych dzieciaków, grających w jakąś grę, wymagającą użycia piłki i kija. Jeden z niech rzucił piłką, a drugi uderzył ją kijem.

– Co za głupia gra – oznajmił Joe Bruckner.

Kiedy tylko młodzi tubylcy zauważyli zbliżających się studentów ostatniego roku, przerwali swoją grę i uciekli. Wydawali się być bardzo przestraszeni.

– Młode osobniki boją się nas – wyjaśnił im instruktor. – Starsi również się nas obawiają, ale tak bardzo tego nie okazują. – Obserwował uciekające dzieci, z wyraźnie widocznymi oznakami wewnętrznej satysfakcji.

Wargi Billy'ego Kaskera zacisnęły się w wąską, prostą linię.

– Teraz przejdziemy do części odbudowanej.

Ruszyli w dalszą drogę.

– Jeden z tubylców idzie za nami – nagle powiedziała Susan Sidwell.

Odwracając się, grupa dostrzegła zbliżającego się do nich ulicą, osobnika podbitej rasy. Był ubrany w całości na brązowo –– kapelusz, koszula, spodnie.

Instruktor położył dłoń na rękojeści pistoletu *Thor*.

Tubylec przeszedł koło grupy, zdając się jej nie zauważać. Pogwizdywał coś między zębami. Poszedł kawałek prosto, skręcił w najbliższą aleję i zniknął. Instruktor zdjął rękę z pistoletu *Thor*.

– Jak widzieliście, tak naprawdę, to wcale nie szedł za nimi. Nie ośmieliłby się. Czy ktoś ma może jeszcze jakieś pytania? – Popatrzył bystrym wzrokiem po całej grupie.

– Tak, ja mam – odezwał się ponownie Joe Buckner. – Dlaczego po prostu nie zabijemy tych wszystkich tubylców? Nie są nam do niczego przydatni.

Instruktor uśmiechnął się chytrze.

– Wyjawię wam małą tajemnicę związaną z tą kwestią Strasznie trudno jest zabić *wszystkie* osobniki jakiejkolwiek rasy. Nieważne jak sumiennie próbuje się wykonać to zadanie, pewne nieliczne osobniki zawsze jakoś zdołają uciec. Potem zaczynają się rozmnażać i zwiększać swoją liczebność, pomimo wszystkich kroków, które podejmie się aby temu zapobiec.

Rozłożył ręce.

– Kiedy już podbiliśmy tę planetę, mieliśmy kłopot z wyłapaniem wszystkich tubylców. Byli najbardziej złośliwym i uporczywym problemem, jaki moglibyście sobie wyobrazić. Dlatego właśnie zostały utworzone te muzea, aby dzięki nim skusić ich do osiedlenia w kontrolowanych warunkach. Ogłosiliśmy więc, że zostały utworzone takie miejsca, w których nikt ich nie będzie niepokoił, o ile nie będą próbowali ich opuszczać. Ogólnie rzecz biorąc, uczyniliśmy te muzea raczej atrakcyjnym miejscem dla nich, mając nadzieję, że…

– Już rozumiem ten plan! – przerwał mu z blaskiem w oczach Joe Buckner. – Kiedy zgromadziliście ich w muzeach ––buuum –– rozwalić ich wszystkich na raz!

Instruktor lekko się uśmiechnął. Wyglądał na tak zadowolonego, jakby sam osobiście wymyślił ten pomysł. Przez grupę przebiegło lekkie poruszenie aprobaty, tak jakby chcieli wyrazić swoją wdzięczność dla władców, za uczynienie tej planety bezpiecznym domem dla nich.

– Dlaczego więc do tej pory nie zostali jeszcze zabici? – spytał tym razem Billy Kasker. – Te muzea zostały stworzone ponad czterdzieści lat temu. Z pewnością…

– Nic nie wiem na ten temat – odpowiedział mu instruktor. – Wydaje mi się, że nasi władcy czekają na właściwą chwilę, albo może na jakiś incydent, który da im pretekst do przeprowadzenia całego planu.

– Mam nadzieję, że nie czekali już zbyt długo – stwierdził Joe Buckner. – Ludzie, chciałbym zostać żołnierzem Thora i złapać się na to oczyszczanie, kiedy w końcu zostanie ono podjęte!

Grypa poruszyła się, zdając się spoglądać w przyszłość, na dzień tej ostatecznej rzezi.

– Jeszcze jakieś pytania? – spytał instruktor.

– Ja miałbym jedno – z wahaniem powiedział Billy Kasker. – To nie do końca ma związek z naszą wycieczką do muzeum… to coś, na co natknąłem się, czytając pewną książkę… ale nie do końca to rozumiem i tak się zastanawiałem…

– Może przejdź od razu do rzeczy, Billy. Co ci chodzi po głowie?

– Więc, ach, czy… czy słyszał pan może kiedyś o *odmieńcach*? Wiem, że to jest raczej dosyć głupie pytanie, ale…

– *Odmieńcach*? – Instruktor zmarszczył brwi.

– Wydaje mi się, że to pochodzi z jakiejś bajki, czy czegoś podobnego – dodał Billy Kasker.

– Ach, tak. Teraz sobie przypominam to słowo. – Twarz instruktora rozjarzyła się wewnętrznym światłem. – Jest taka opowieść o bajkowych istotach zabierających dzieci z kołysek i zastępujących je innymi. Zastępcze dziecko nazywane było *odmieńcem*. Być może chodzi tutaj o jakieś biedne matki, pragnące dać swoim dzieciom lepsze szanse, i kradnące dzieci bogatszym matkom, aby podłożyć swoje w miejsce tamtego. Naprawdę nie potrafię sobie zbyt dużo przypomnieć na ten temat.

– Dziękuję panu. Wyjaśnił to pan znakomicie.

Instruktor rozpromienił się.

Joe Buckner pokręcił nosem.

– Zadawanie pytań, a potem opowiadanie instruktorowi, że bardzo dobrze je wyjaśnił, podczas gdy, w pierwszym rzędzie, nie zadało się żadnego sensownego pytania –– to właśnie nazywam podlizywaniem się! Kto z was słyszał kiedykolwiek o *odmieńcu*?

Grupa przeszła dalej. Znaleźli się w części miasta, która została naprawiona. Ulice zostały oczyszczone z gruzu, domy były odbudowane, a tu i ówdzie niewielkie grządki z zieloną trawą, wskazywały na miejsca gdzie poczyniono również pewne wysiłki w kierunku upiększenia miasta.

Widzieli bardzo niewielu tubylców. Gdzieś daleko przed sobą, od czasu do czasu dostrzegali pojedyncze osoby, ukradkiem prześlizgujące się przez trasę ich wędrówki. Za nimi, również zawsze w dużej odległości, spoza narożników ulic czasami wyglądały ich głowy.

– Oni są bardzo tchórzliwi – wyjaśnił instruktor.

– Gdzie jest Billy Kasker? – nagle spytała Susan Sidwell.

Studenci zatrzymali się. Billy'ego Kaskera nie było na końcu grupy. Leki szmer konsternacji przeszedł przez nich, kiedy zrozumieli, że ich starosta gdzieś zniknął.

– Billy! Billy! – zawołał głośno instruktor.

Nie było odpowiedzi.

– Po prostu tego nie rozumiem. Przecież wiedział, że ma trzymać się grupy.

– Może złapali go jacyś z tych straszliwych tubylców! – powiedziała Susan Sidwell. Grupa słuchała zdumiona –– i nagle wystraszona.

Instruktor wziął głęboki oddech.

– Ja mam pistolet *Thor*. Pójdę go więc szukać. Joe, ty przejmujesz dowodzenie grupą, dopóki nie wrócę. Macie czekać razem, na środku ulicy i nigdzie się stąd nie ruszać.

Instruktor poszedł z powrotem ulicą. Był mocno zirytowany i lekko zaniepokojony. Gdyby Billy'emu cokolwiek się stało, to jakby wyjaśnił tę sprawę kapitanowi straży przy bramie, albo rodzicom Billy'ego?

– Billy! – wołał raz po raz.

Nagle z poprzecznej alei dobiegła odpowiedź.

– Tutaj, proszę pana… jestem tutaj. Czy to mnie pan szuka? Bardzo przepraszam, proszę pana. – W alei pokazał się sam Billy.

Uspokojony widokiem młodego człowieka instruktor, wszedł w aleję.

– Co to wszystko ma znaczyć? Zaniepokoiłeś mocno nas wszystkich.

– Strasznie mi przykro, proszę pana. Ale spostrzegłem tutaj coś, co mnie zainteresowało i zatrzymałem się, żeby to dokładniej obejrzeć. Mam nadzieję, że mi pan wybaczy. – Wyglądał na tak skruszonego i okropnie zmartwionego, że instruktor nie miał innego wyboru i musiał mu wybaczyć.

– Oczywiście, Billy. Ale następnym razem nie wolno ci zrobić czegoś takiego. To mogłoby być dla ciebie niebezpieczne.

– Na pewno nie zrobię, proszę pana. Obiecuję. Ale ponieważ pan tutaj już jest, to zastanawiam się, czy nie mógłby mi pan wyjaśnić to, co tutaj zobaczyłem. To zajmie tylko minutkę.

– A o co chodzi?

– To coś w jednym z tych domów. Wróciłem szukając czegoś innego i wtedy to właśnie zauważyłem. Czy mógłby pan pójść ze mną na podwórze i samemu to zobaczyć? Bardzo by mi na tym zależało, żeby mi pan to wyjaśnił, proszę pana. Pan zawsze tak jasno i dokładnie wszystko potrafi wytłumaczyć. – Sposób zachowania Billy'ego Kaskera był nie do odparcia.

– No cóż, jeżeli zajmie to tylko minutkę… – Instruktor ruszył za Billym na podwórze. Na tyłach domu znajdowała się szopa, z otwartym oknem. Od domu oddzielał ją niewielki trawnik. W domu, na drugim piętrze, jedno z okien było rozbite.

– Tam, w tym rozbitym oknie coś jest. Jeżeli stanie pan tutaj, będzie mógł pan to lepiej zobaczyć.

– Uchm. Ach! O, tak. – Instruktor stanął tyłem do otwartego okna szopy. Wpatrywał się w dom, z uniesioną do góry głową.

Dwie ręce w brązowych rękawach wyłoniły się z okna szopy i gwałtownie zacisnęły się wokół jego gardła, szarpiąc nim do tyłu i przyciągając do ściany. Instruktor szaleńczo chwycił za pistolet *Thor*.

W oknie szopy pojawiła się twarz ubranego na brązowo tubylca.

– Billy, zabierz mu ten pistolet!

Billy Kasker zaczął działać już wcześniej. Wyrwał pistolet z młócących powietrze rąk instruktora.

Ubrany na brązowo tubylec wychylił się z okna. Wokół jego grubych ramion, kłębiły się potężne mięśnie. Uniósł instruktora w powietrze i

wciągnął go przez okno. Z wnętrza szopy doleciał głuchy odgłos uderzenia. Billy Kasker, z pistoletem *Thor* gotowym do użycia, wszedł przez drzwi do środka.

Instruktor zwijał się na podłodze. Tubylec trzymał jedno kolano na jego piersi, a w ręku miał nóż.

– A to masz od rasy, którą *myślicie*, że podbiliście! – powiedział tubylec. Zatopił nóż w gardle instruktora. Z rany trysnął zielony płyn.

– Zielona krew – stwierdził tubylec. – Jedna z różnic chemicznych. – Podniósł się na nogi. Umierający instruktor leżał zapomniany. Ręka tubylca wysunęła się do przodu.

– Billy, cieszę się, że cię widzę. Obawiałem się, że możesz mnie nie rozpoznać, pomimo melodii, którą gwizdałem, kiedy przechodziłem obok was na ulicy.

– Nigdy bym nie zapomniał – odparł Billy Kasker.

– Ale, Billy, minęło już dwanaście lat, kiedy przehandlowałem cię, jako pięciolatka za jedno z ich potomstwa –– podmieniłem cię i przełożyłem ci jego bransoletę. Wielokrotnie od tego czasu myślałem już, że zapomniałeś, albo że nie dożyję dnia w którym wrócisz tutaj razem z ostatnim rokiem.

– Ja nie zapominam – powiedział Billy Kasker. – Jestem nawet starostą grupy! – Te słowa wybuchły z niego, tak jakby ciągle miał problem ze zrozumieniem, co one znaczą.

– To cudowne, Billy. Zaakceptowali się jako jednego ze swoich, a ty przez cały czas byłeś jednym z nas. Jesteś razem z nimi, wszedłeś w układ. Wykonałeś naprawdę niesamowitą robotę, i jestem z ciebie dumny.

To wspaniale było zobaczyć światło w oczach tubylca. Widać w nim było nadzieję na przyszłość, dla wszystkich uciemiężonych tubylców z tej utraconej planety, niegdyś nazywanej Ziemią –– wiarę i niezachwianą pewność, że kiedyś ponownie podniosą się z kolan… że naprawdę już zaczęli się podnosić.

– Dziękuję! Ale… – Billy kiwnął głową w stronę ciała inspektora, a następnie odwrócił się pośpiesznie, słysząc jakiś hałas dobiegający z tyłu szopy, celując w tamtą stronę z pistoletu *Thor*. Podnosiła się tam właśnie klapa uchylnych drzwiczek. Wyglądali spod niej trzej tubylcy.

– Oni są w porządku – szybko powiedział ubrany na brązowo tubylec. – Są po naszej stronie.

Trzej obszarpani ludzie przecisnęli się przez drzwiczki. Obrzucili spojrzeniem tubylca w brązowym ubraniu, a następnie leżące na podłodze zwłoki instruktora. Na ich twarzach pojawił się wyraz dzikiego uniesienia i szczęścia. Potem popatrzyli na Billy’ego Kaskera i spoczywający w jego ręku pistolet *Thor*.

– Daj pistolet Thor Jimowi – powiedział ubrany na brązowo tubylec.

Bez śladu wahania Billy Kasker wręczył pistolet tubylcowi, który wyciągnął po nią rękę. Jim zrobił chyba wszystko, poza ucałowaniem broni.

– Boże, całe lata czekałem, marząc o chwili, kiedy dostanę jednego z tych pieszczoszków w swoje ręce! Tylko jeden, to wszystko czego mi potrzeba.

– Nie stój tam jak słup soli, Jim… ruszaj się – polecił tubylec w brązowym ubraniu. W ciągu miesiąca chcę, żebyś nie tylko zorientował się jak działa broń *Thor*, ale zaczął wytwarzać ją całymi dziesiątkami, włączając również większe rozmiary. To właśnie ta broń powstrzymywała nas przez te wszystkie lata… to ona również zabierze nas z tych chlewów, które nazywają muzeami. Bierz się do roboty!

– Tak jest, sir – Jim już zniknął za klapą drzwiczek.

Ubrany na brązowo tubylec kilkoma szarpnięciami zerwał ubranie ze zwłok instruktora, a potem szybko, ale sprawnie, posłużył się swoim nożem. Kiedy skończył, dłoń instruktora została oddzielona w nadgarstku od reszty jego ręki.

– Mówił nam, że nikt nawet nie jest w stanie pomyśleć o zrobieniu czegoś podobnego – powiedział Billy Kasker.

– Nikt poza jednym z tych śmierdzących tubylców. – Ubrany na brązowo tubylec zdjął inspektorowi bransoletę z *plastikum*, a następnie zajął się palcami swojej lewej ręki. – Całe lata zajęło mi nauczenie się wyciąganiem mojego kciuka ze stawu, i ledwie zdążyłem na czas…

Bransoletka z *plastikum* prześlizgnęła się przez jego wywichnięty kciuk. Pasowała na nadgarstek wręcz doskonale. Uniósł rękę do góry.

– Idealnie, co? To czyni mnie jednym z rasy zdobywców.

– Pasuje świetnie. Ale zostało nam już bardzo mało czasu. Grupa zacznie się niepokoić.

Drugi z tubylców, zaczął wyciągać ciało instruktora przez drzwiczki. Tubylec w brązowym szybko zrzucił z siebie swoje ubranie i założył garderobę, którą miał na sobie instruktor.

– Ed, gdzie jest ten model pistoletu *Thor*? Muszę mieć coś, co wygląda i leży w ręce, jak prawdziwy *Thor*, żeby coś zwrócić przy bramie.

– Jest tutaj, sir. – Trzeci z tubylców podał mężczyźnie w brązie, błyszczącą replikę pistoletu *Thor*. Tamten wsunął ją do kabury. Pasowała idealnie.

– Jak wyglądam, Billy?

Billy Kasker przyjrzał się tubylcowi. Prezentował się zupełnie inaczej. Nie wyglądał już jak tubylec, a raczej jak zdobywca.

– Troszeczkę wyżej okulary na nosie. I może trochę mniej wypychaczy pod zakładką kapelusza. Ale… czy potrafi pan przejąć rolę instruktora?

– Potrafię ją odegrać albo zginąć – odparł tubylec w brązowym.

– Dobrze! – Obydwaj uścisnęli sobie ręce, a następnie odwrócili się i wyszli przez drzwi. Kiedy byli na już zewnątrz, Billy Kasker zobaczył, że Ed ściera z podłogi ostatnie resztki zielonej krwi.

– Doskonałość aż do najdrobniejszego detalu – powiedział Billy Kasker. – Jest pan geniuszem planowania.

– Trzeba być geniuszem, jeżeli ktoś chce się utrzymać przy życiu. No dobrze, Billy. Od tej chwili wchodzimy w nasze role.

Wyszli na ulicę i grupa ich zobaczyła. Głos wydobywający się z ust tubylca w brązowym, zrobił się podobny do głosu instruktora, gniewny i niezadowolony.

– Billy, takie zachowanie jest niemożliwe do przyjęcia. Powinieneś pomyśleć, zanim tak po prostu sobie odszedłeś. Czy potrafisz podać mi jakieś usprawiedliwienie dla twojego postępowania?

Billy Kasker był bardzo skruszony. Był zakłopotany, czuł się upokorzony, i oba te uczucia okazywał bardzo wyraźnie. Zgubił całe to typowe dla niego wrażenie zachowywania zimnej krwi.

– Bardzo przepraszam, proszę pana. Nie myślałem…

– I o to właśnie chodzi, nie myślałeś. Nie wiedziałeś w tej alei nic istotnego, a jednak poprosiłeś mnie, żebyś wrócili i to obejrzeli. Czy właśnie w taki sposób powinniśmy marnować mój i twój czas?

– To już się więcej nie powtórzy, proszę pana – zapewnił skruszonym tonem Billy Kasker.

– Masz tego dopilnować.

– Juuch! – napawał się Joe Buckner. – Chociaż raz nasz starosta dostał po głowie.

– Podjąłeś tutaj bardzo dobrą kwestię – oświadczył instruktor. – Billy właśnie zademonstrował swoją całkowitą nieprzydatność do funkcji starosty. Dlatego też niniejszym zdejmuję go z niej i wyznaczam ciebie na jego miejsce.

– Co? – wysapał Joe Buckner, aż się trzęsąc z przyjemności.

Billy Kasker zajął swoje miejsce w grupie. Już nie miał iść jako ostatni. Obecnie ta zaszczytna pozycja przypadała Joe Bucknerowi. Grupa okazywała Billy'emu pewną sympatię, ale niezbyt mocno i nie za długo. Kiedy utracił swoją funkcję starosty, wydawało się, że zmienili swój stosunek do niego.

Grupa przemieszczała się powoli przez miasto. Jak gdyby nic się nie wydarzyło, instruktor wyjaśniał wszystko, co oglądali. Kiedy ktoś zadawał pytania, odpowiadał na nie. Billy Kasker już o nic nie pytał.

W końcu dotarli do bramy, przy której przywitał ich ten sam wspaniały kapitan. Przyjął od nich pistolet *Thor* i kaburę, oraz wręczył je strażnikowi.

– Jak się mają rzeczy w muzeum?

– Wszystko w najlepszym porządku, proszę pana.

– To dobrze. Miałem wrażenie, że ostatnio zaczynają robić się trochę niespokojni.

– Nie wiedziałem żadnych oznak czegoś takiego.

– Świetnie. Miał pan jakieś kłopoty z grupą?

– Bardzo niewielkie. Billy Kasker odszedł gdzieś na kilka chwil, i musiałem go zdegradować z funkcji starosty. Ale to naprawdę nic ważnego. Do zobaczenia w przyszłym roku, kiedy przyprowadzę kolejny ostatni rocznik, żeby trochę się tam rozejrzeli.

Grupa zaczęła się rozdzielać, aby rozejść się do domów. Billy Kasker nieco się ociągał, chcąc porozmawiać z instruktorem.

– Już pytałem moich rodziców, proszę pana, tak więc wiem, że z ich strony nie będzie żadnego sprzeciwu. Gdyby dzisiejszego wieczora zechciał pan pójść do nas do domu…

– Hmmmm.

– Znowu próbuje się podlizywać – powiedział Joe Buckner. – To i tak nic ci nie da. Tym razem, jesteś ugotowany na dobre!

Billy Kasker zdawał się go nie słyszeć. Jego wzrok przez cały czas utkwiony był w instruktora.

– Bardzo byśmy się cieszyli, gdyby skorzystał pan z naszej propozycji. Moglibyśmy porozmawiać o wielu ważnych sprawach.

– No cóż, Billy, w takim przypadku, z chęcią z tobą pójdę, do waszego domu.

Oddalili się razem od rozchodzącej się grupy.

– Jest jedna rzecz, co do której chciałbym, żeby była zupełnie jasna – oznajmił Billy Kasker.

– O co chodzi?

– Kiedy nadejdzie czas, jest jeden ze zdobywców, znajdujący się na *mojej* liście!

– Ten szmaciarz, którego zrobiłem starostą grupy? Oczywiście, Billy. Będzie nam bardzo miło, zostawić go specjalnie tylko dla ciebie. – Uśmiech instruktora był pełen szczęścia.

– Dobrze. A więc jesteśmy co do tego zgodni.

W gęstniejącym zmroku, głos Billy’ego Kaskera był równie ostry jak nóż wbijający się prosto w gardło, z którego tryskała zielona krew…

KONIEC